

Juliusz Słowacki

---

W Szwajcarii



**Juliusz Słowacki**

**W Szwajcarii**



**Fundacja Festina Lente**

## I

**O**dkąd zniknęła jak sen jaki złoty,  
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.  
I nie wiem, czemu ta dusza, z popiołów,  
Nie wylatuje za nią do aniołów?  
Czemu nie leci za niebieskie szranki,  
Do tej zbawionej, i do tej kochanki.

## II

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,  
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.  
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.  
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?  
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,  
Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmiesza;  
A czasem tylko jakie białe jagnię  
Przez tęczę idzie na skraju doliny  
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;  
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,  
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,  
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.  
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,

Że z tęczy wyszła i z potoku piany,  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;  
Tak jasną była od promieni słońca!  
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!  
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!  
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,  
To zakochały się w niej moje oczy;  
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,  
Poszło i serce, a za sercem dusza.  
I tak się zaczął prędko romans klecić,  
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;  
Bo się lękałem, że jak widmo blade,  
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,  
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,  
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.  
I byłem jak ci, co się we śnie boją,  
Bo jużem kochał, bo już była moją.  
I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą  
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;  
Powiew miłości owiał mię uroczy.  
Stanałem przed nią i spuściłem oczy.

### III

Poszedłem za nią przez góry, doliny  
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,  
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka  
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;  
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,

A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.  
Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.  
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;  
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,  
Stały blisko, złote, nieruchome.  
I utopiły oczów błyskawice  
W kochanki mojej błękitne źrenice;  
I długo patrząc, nieruchome obie,  
Głowy promienne pokładły na sobie:  
Rzekłem: „One się zakochały w tobie!”  
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie  
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,  
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,  
Do swego gniazda, do pereł i róży;  
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,  
Całą jej białą twarz zamienił w różę.  
A wiecie? ani tak za serce chwyta  
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;  
Ani tak oko wędrowca zachwyca,  
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,  
Kiedy od słońca różane ma lica:  
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,  
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

#### IV

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,  
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;  
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,

Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,  
Chodzić po wodach i po niebie latać,  
A ona tak mię prowadziła wszędzie!  
Ach! ona była jak białe łabędzie,  
Była jeziora błękitnego panią;  
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,  
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,  
Za tą jasnością rybek korowody,  
I wyrzucały się aż do niej z wody;  
I z takimśmy płynęli orszakiem,  
Uśmiechając się w błękitu krainie.  
Bo ona była jak wodne boginie:  
Miała powozy z delfinów, z gołębi,  
I kryształowe pałace na głębi,  
I księżycowe korony w noc ciemną...  
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

## V

Raz, że nie była niebieskim aniołem.  
Myślałem całe długie pół godziny;  
Wyspowiadałem się potem z tej winy —  
Słuchajcie! Oto przed Tella kościołem  
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,  
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,  
I odesłała mnie znów na jezioro;  
Łódkę mą — pierśią odtrąciwszy białą...  
A ja, ach, nie wiem, co się ze mną stało!  
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,

Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,  
Czy uśmiechami rozrywa się łono,  
Czy serce jak lód rozegrzany taje,  
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,  
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?  
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?  
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty  
Na serce spadły, jak gołębi chmura  
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,  
Aby się czyste rozlecieć po niebie...  
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.  
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,  
I sama do niej z błękitu przybiegła.

## VI

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów  
Stoi cichości pełna i kolorów  
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,  
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,  
Że się już dawno sercami kochamy;  
A pod tym progiem są na wodzie plamy  
Od sosen, co się kołyszają na niebie,  
I od skał cienia, gdzie mówiąc do siebie,  
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.  
A pod tym progiem fala tak się toczy,  
I tak swawolna i taka ruchoma,

Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy  
I przybliżała łącząc je rękoma,  
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.  
Ach! fala taka szalona i pusta!  
Że połączyła nawet nasze usta,  
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.  
Fala tak pełna ruchu i promieni,  
Że jednym światła objąwszy nas kołem,  
Zmieszała niby anioła z aniołem.  
Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna.  
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

## VII

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty  
Przez jasne łąki do lodowej groty.  
Tam ją obielił dzień alabastrowy;  
I mróz na czole mej jasnej królowej  
Perłami okrył wszystkie polne róże;  
I ze sklepienia łzy leciały duże;  
A we łzach sylfy z jasnością ogromną  
Deszczem spadały na białą i skromną.  
Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,  
Cała się szatą okryła zazdrośniej,  
I wszystko oczom ciekawym ukradła,  
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła  
Na alabastry widne, choć zakryte.  
Tak nieruchoma stała, a koło niej  
Igrały tęcze w blaski rozmaite.



Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej.  
Ave Maria!  
Jak biała róża, kiedy się rozwija,  
Róż pokazuje z piersi odemkniętej,  
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.  
I zamyślona odwróciła głowę,  
Palec na ściany kładąc kryształowe,  
Jak ta, co imię ukochane kreśli,  
Lub o błękitnych jakich myślach myśli.  
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:  
Może za miłość ja pójdę do piekła,  
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,  
Wszczepioną będę w kryształowe lody,  
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...  
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy  
Ta jasność słońca stworzona promieniem,  
Którą lód w sobie mrozi i zabija,  
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...  
Ave Maria!

## VIII

Pójdziemy razem na śniegu korony!  
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,  
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,  
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory  
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;  
Gdzie we mgle jeleni przelatuje skory;  
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą

Rzucają cienie na lecące chmury;  
O! moja luba, tam pójdziemy z tobą.  
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,  
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy  
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;  
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy  
I ulecieli z Pelejad gromadą.  
I tylko po nas potok spadnie głuchy,  
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

## IX

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,  
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,  
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?  
Ach! najciekawszy na świecie nie zgadną,  
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;  
I wiele nam róż do okien świeciło,  
I wiele wiszeń naokoło rosło,  
Ile słowików na wiszniach się niosło:  
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,  
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;  
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...  
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,  
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...  
Łąka i szalet i wisznie w parowie,  
W takim parowie, że stróż anioł biały  
Rozwijał skrzydła od skały do skały,  
I nakrywał ten cały parów dziki,

Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

## X

Lecz nadto było cyprysowej woni,  
I nadto barwy, co się w różach płoni;  
I chciała nas już miłość ująć zdradą.  
Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą:  
Byliśmy niczym nie strwożeni, sami,  
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.  
Wtem duch mi jakiś podszeptał do ucha,  
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.  
Była jak anioł, co myśli i słucha;  
I nagle takim przejrzystym obłokiem  
Rumieniec smutny twarz jej umalował,  
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,  
Alem ją w usta różane całowałam,  
I czułam ją tu, na mych rękach, białą,  
Sercem bijącą, brylantową w oczach.  
Wtem nagle, w jasnej kaskady warkoczach  
Coś pomieszało się i coś urzekło;  
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,  
I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami.  
Odtąd już nie czytaliśmy sami.

## XI

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,

Smutniejsza, cichsza i bielsza, i bladsza.  
W głębszych się coraz zanurzała cieniach  
I obrywała róże na strumieniach;  
Albo przy kaskad naciągniętej lutni  
Stawała słuchać, tak jak ludzie smutni,  
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni  
Ręce na białą zakładała szyję  
Jak ta, co boi się albo się broni.  
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,  
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.  
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem  
I jaskółeczek utraciła zwinność,  
I zadumała ją całą — niewinność.

## XII

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie  
I rzekłem: „Luba! jak Bóg jest na niebie,  
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;  
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.  
Otoś ty wczoraj w tym źródle, co bije  
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;  
A tam za tobą prosta, niedaleka,  
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,  
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,  
Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.  
Widząc was obie takie białe, w parze,  
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;

I drzeć zacząłem, i zadrzałem wszystek,  
I jeden tylko poruszyłem listek,  
Ten listek inne poruszył listeczki,  
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;  
I takeś prędko uciekała zlekła,  
Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;  
I lilijowa wnet łodyga pękła,  
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;  
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,  
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.  
I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą —  
Nie jam był winien — lecz lilija winna”.

### **XIII**

Płoneła wonna jak kadzidło mirry  
I widać było, że nie wiedząc płonie.  
Głębszymi oczu stały się szafiry,  
I prędsza fala białości na łonie.  
I dziwnym ogniem rozpalone skronie  
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.  
Ona z tych była, co się skarżą matkom,  
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,  
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;  
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,  
Co zamysłone, własnych myśli słucha.

## XIV

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą  
Aniołom boskim mówisz rozzalona?  
Jak ci, co mówią skarżąc się i płaczą,  
Że była burza gromami czerwona,  
Że była grota posępna i ciemna,  
I grocie z kaskad kryształu zasłona;  
Że była trwoga w ciemności tajemna,  
Razem niepamięć jakaś boskiej kary;  
I skarga smutna czystych nimf, podziemna,  
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,  
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy;  
I ptasząt nas tak obudziły gwary.  
Mówisz ty o tym jak ta, co się skarży?  
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!  
Bo każda twoja brylantowa łezka  
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.  
Bo ja, ach gdybym był także aniołem  
Z rozpromienionym na błękitach czołem  
I nieskończoność całą miał obszarem,  
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:  
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,  
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,  
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

## XV

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.  
Słońca się może bała na lazurze,  
Że za promienne będzie i za duże,  
Albo, że będzie jako czarna plama.  
Ale na niebie była z tęczy brama,  
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.  
Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże,  
Że takie były jak wczoraj różowe.  
Zerwała jedną i podniosła głowę,  
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,  
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,  
Krażek księżycy tonący w błękicie.  
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,  
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;  
Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrzegła  
Na licu swoim przezroczystsza białość,  
Żywszy ust koral i większą omdlałość,  
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.  
Więc osłoniła się cała w warkoczu  
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

## XVI

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,  
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,  
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,

I ciszej źródła po murawach dyszą;  
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,  
I o czym cichem pomówić ze światem,  
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.  
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą  
Wychodzi blady pierścionek Dyjanny;  
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,  
I wszystkie liście na drzewach zabręcą,  
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;  
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,  
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;  
Jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.  
O takiej chwili z moją panią skromną  
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,  
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

## XVII

Jak śpiewający na niebie skowronek,  
Z gór słyhać było pustelnika dzwonek.  
Rzekła raz: „Chodźmy do staruszka celi,  
„Może rozgrzeszy, może rozweseli,  
„Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.”  
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,  
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,  
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;  
I ustroiwszy się jak gór dziewice,  
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!...



Ani jej oczy kiedy takie ładne,  
Ani jej usta takie były świeże.  
Motyla miała czarnego na głowie,  
Ten alabastrów od smagłości strzeże;  
I przeświecony od słońca w połowie,  
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;  
A pod motylem pochowane róże  
Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,  
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;  
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,  
Złośliwy motyl usiadł przechylony.  
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...  
Siadł i na lewe przechylił się ramię.  
I któż by wierzył w przeczucia, co straszą,  
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!  
Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,  
Szalet się oku wydawał jak trumna,  
Maleńki, cichy; kiedym spojrział z góry,  
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury;  
I niespokojne o nas gołębnice,  
I zadumane o nas w łąkach trzody;  
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,  
Zabite śmierci ćwiekiem okiennice;  
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,  
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.  
Szedłem posepny i drżący na góry...  
Jeziora czarne, głązy, śniegi, chmury;  
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,  
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,  
Dom pustelnika śniegiem przysypany,

I dwa ogromne na straży brytany,  
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,  
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle,  
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...  
Pamiętam tylko, że promień zachodu  
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,  
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu  
Kładłem pierścionek. . . . .  
. . . . .

## XVIII

Gaje! doliny! łąki i strumienie!  
O nie pytajcie wy mię, smutne, o nią.  
Są łyzy, co mówić na zawsze zabronią.  
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie,  
I widzę jasne błękitne spojrzenie,  
Co się zaczyna nade mną litować,  
I widzę usta, co mię chcą całować,  
I drzę — i znów mię ogarną płomienie.  
I nie wiem, gdzie iść i gdzie oczy schować?  
I gdzie łyzy ukryć? i gdzie być samotnym?  
I staję blady i kreślę jej rysy,  
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;  
Lub błędzę między róże i cyprysy,  
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,  
Zmysły utracił, i płacząc usiada  
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,  
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

## XIX

Jest pod moimi oknami fontanna,  
Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;  
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem  
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,  
Gdzie co noc blada zaziera Dyjanna,  
I czoło moje smutnym blaskiem mami.  
I tak mię budzą zalanego łzami  
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.  
I wstaję blady, przez okno wyzieram,  
Słuchając różnych płaczów na dolinie.  
Słowiki jęczą i fontanna płynie,  
Mówią mi o niej — ja serce otwieram  
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą.  
I schnę, i więdnę — i — ach, nie umieram...  
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

## XX

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,  
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?  
Czy kiedy przyszła śpiącego całować  
Jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?  
Czy wtenczas kiedy uciekała trwożna?  
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę  
Wbijała oczy błękitne, otwarte,

Na każde moje spojrzenie ostrożna?  
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem  
Chodziła gdyby zaklęta królowa?  
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?  
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa  
W księżycu blasku biała, lub wieczorem  
Od Alp na śniegu różowych — różowa.

## XXI

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,  
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.  
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,  
I tam polecę, gdzie one polecą.  
Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,  
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,  
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;  
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.  
Więc już nie myślę teraz tylko o tym,  
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,  
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem  
O moje serce rozdarte i krwawe;  
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę  
Idąc po fali... zaszeleści złotem,  
I załaskocze tak duszę tajemnie,  
Że stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

Juliusz Słowacki  
*W Szwajcarii*

Redakcja:  
*Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-219-7

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)